

Prymat czy powściągliwość. Część 2: Powściągliwość



(Fot. NASA)

Stany Zjednoczone realizują wielką strategię prymatu, ponieważ uważają, że są dzięki niej bezpieczniejsze. Co jednak, jeżeli się okaże, że albo nie będą w stanie dłużej jej realizować, albo dojdą do przekonania (w drodze pokoju lub wojny), że tak nie jest - że strategia prymatu naraża je na większe niebezpieczeństwa? Wówczas będą zmuszone do przededefiniowania swoich egzystencjalnych interesów i ujęcia ich w bardziej wąskich kategoriach. Mogą uznać, że ich interesy lepiej będzie obsługiwać bardziej powściągliwa wielka strategia.

Stany mogą wówczas uznać, że w ich interesie nie leży utrzymywanie całego kosztownego systemu międzynarodowego (w tym jego architektury gospodarczej i bezpieczeństwa) i ciągle stabilizowanie go, ale raczej wyłącznie upewnienie się, że nie będą zagrożone agresją zbrojną i że niezagrożone pozostanie ich

terytorium oraz suwerenność. Droga do osiągnięcia tego celu będzie wypracowanie mechanizmów pozwalających uniemożliwić zaburzenie równowagi systemu międzynarodowego na tyle, aby w jego rezultacie mógł się wyłonić podmiot dysponujący potencjałem podobnym jak Stany Zjednoczone. Wówczas Stany Zjednoczone – dobrowolnie lub postawione w obliczu faktów dokonanych – odejdą od wielkiej strategii prymatu na rzecz strategii *offshore balancing* (co można przetłumaczyć jako zewnętrzne balansowanie). W podejściu tym za nieuniknione uznaje się nadejście kresu amerykańskiej hegemonii, w której miejsce pojawi się świat wielobiegunowy. Hipotetycznie można sobie również wyobrazić, że Waszyngton rezygnuje nawet z tej znacznie węższej definicji interesów egzystencjalnych na rzecz „pełnoprawnego” izolacjonizmu.

Warto zwrócić uwagę, że porzucenie przez Stany Zjednoczone strategii prymatu oznacza więcej niż ograniczenie obecności militarnej w Europie, na Bliskim Wschodzie czy nawet w Azji. Nie oznacza to na przykład, że obecność Stanów w Europie stanie się mniejsza liczbowo i jakościowo czy też że oprą się one w większym stopniu na lokalnych partnerach – na co zdają się mieć mniej lub bardziej zwerbalizowaną nadzieję ci, którzy dostrzegają prawdopodobieństwo stopniowego wychodzenia USA z Europy. W tym paradygmacie toczą się więc rozważania, czy Amerykanie byliby gotowi zrewidować swoje utrwalone praktyką przekonanie o potrzebie oparcia dalszej obecności w Europie na Niemcach, chociażby poprzez zastąpienie ich Polakami. Obawiam się jednak, że przejście na wielką strategię *offshore balancing* oznacza co innego. Oznacza konstatację, że obecna forma zaangażowania i roli odgrywanej przez USA w polityce międzynarodowej nie poprawia sytuacji bezpieczeństwa USA, tylko ją pogarsza.

To pociąga za sobą szereg konsekwencji. Porządkujący i dostarczający legitymacji systemowi międzynarodowemu porządek aksjologiczny zostanie zrewidowany. Dotychczas – powodem anatemy i stałych napięć pomiędzy USA a Chinami i Rosją była idea, że państwo może posiadać strefę wpływów, o ile, rzecz jasna, państwem tym nie były Stany Zjednoczone (vide doktryna Monroe).

Zasada ta zostanie zmieniona na rzecz celu znacznie bardziej ograniczonego – a więc upewnienia się, że żadna siła nie będzie w stanie zdominować jednego z trzech krytycznie ważnych regionów – Bliskiego Wschodu, Europy i Azji Wschodniej. Przyjęcie strategii *offshore balancing* zdjęłoby z barków Stanów Zjednoczonych obowiązek utrzymywania wiarygodności – a wraz z nim konieczność wiecznie ekspandującego zaangażowania w konflikty na peryferiach.

Cały czas Stany mogą być zainteresowane uniemożliwieniem powstania siły mogącej zdominować dany region; w teorii więc Waszyngton może chcieć uniemożliwić Chinom dalszą ekspansję – o ile uzna, że jest to w ogóle możliwe oraz że Chiny są w ogóle zainteresowane taką formą ekspansji, która w jakiegokolwiek perspektywie czasowej zagraża jego egzystencjalnym interesom. Czy natomiast Chiny będą dążyły do zdominowania reszty regionu – w szczególności Morza Południowochińskiego, zwłaszcza gdy dominacja ta miałaby przyjąć formę znaną i rozumianą przez Zachód? Nie jest to pewne; poza tym agresywniejsza polityka Pekinu może wymusić – tak uważa chociażby Mearsheimer, ale też autorzy monografii CNAS z 2020 roku – powstanie koalicji antyhegemonicznych, mających na celu balansowanie potęgi Chin. Stany Zjednoczone będą mogły wspierać takie aranżacje finansowo lub poprzez transfer technologii, minimalizując jednocześnie swoją ekspozycję na bezpośredni konflikt z Chinami. Niestety (dla nas) Azja Wschodnia wydaje się jedynym teatrem, który może wymagać od Stanów Zjednoczonych pozycji selektywnego zaangażowania. Natomiast nic w logice *offshore balancing* nie pozwala sądzić, że Stany Zjednoczone mogą uznać za uzasadnione utrzymywanie jakiegokolwiek zaangażowania militarnego i na Bliskim Wschodzie, i w Europie.

Przypomnijmy, bo to kluczowe: Stany Zjednoczone zrzucają z siebie brzemię obsługiwania nadbudowy ideologicznej – która w gruncie rzeczy powstała i była utrzymywana, ponieważ do pewnego momentu obsługiwała właściwie interesy amerykańskie. W ramach wielkiej strategii *offshore balancing* USA nie są już więcej zainteresowane (ani nie uznają tego za swój interes) powstrzymywaniem wybuchu regionalnych konfliktów zbrojnych, ludobójstw czy „porządku międzynarodowego opartego na zasadach”. Kluczowym kryterium będzie znacznie węższe niż dotychczas interpretowane zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych. Czy w ramach wyznaczonych przez tę definicję istnieje uzasadnienie dla utrzymania zdolności militarnych w Europie, niezależnie od tego, czy w formie kontyngentów wojskowych czy też nawet zdolności projekcji siły spoza linii horyzontu? Odpowiedź może być twierdząca jedynie, gdy uznamy, że istnieje w Europie siła zdolna do osiągnięcia statusu potęgi regionalnej. Czy cokolwiek na to wskazuje? Zdaniem autora odpowiedź na to pytanie jest jednoznaczna i brzmi: nie.

Rosyjska potęga została złamana w lutym i marcu ubiegłego roku pod Kijowem i nawet odbudowana nie będzie w stanie zagrozić całej Europie; nic nie wskazuje na to, aby pod względem potencjału militarnego, gospodarczego czy demograficznego Rosja mogła nawiązać bezpośrednio do tradycji sowieckich. Nawet gdyby – czego wykluczyć nie można – udało się jej ostatecznie zneutralizować państwo ukraińskie, a nawet państwa bałtyckie, da jej to jedynie lepszą pozycję do wejścia w proces negocjowania statusu reszty państw Europy Środkowo-Wschodniej – gdzie natknie się jednak na opór albo ze strony tamtejszych państw, albo też Niemiec. Jednocześnie nawet w wypadku udanego podboju Ukrainy i państw bałtyckich jej zasoby i uwaga strategiczna będą niezmiennie skierowane na utrzymanie w nich porządku; na południu ogranicznikiem będzie Turcja.

Być może Europie uda się zrealizować projekt dalszej federalizacji, natomiast jest to założenie dość śmiałe. Dotychczas wszelkie iteracje projektu federalizacji Europy kończyły się fiaskiem; gdy zabraknie obecnie temperującego wpływu Ameryki, łatwiej będzie sobie wyobrazić, że Europa wróci do właściwej sobie tradycji rywalizacji pomiędzy państwami narodowymi, zwłaszcza gdy równie tradycyjną rolę odgrywać zacznie perfidny Albion. Do tego warto pamiętać o malejącym znaczeniu Europy jako centrum finansowego i technologicznego oraz o jej nieistniejącej właściwie zdolności do projekcji siły poza bezpośrednim sąsiedztwem. Innymi słowy, w Europie (w rozumieniu geograficznym, od Lizbony po Ural) nie znajdzie potrzeba uprawiania przez USA aktywnej polityki offshore balancing, bo nie będzie przeciwko komu balansować. Najzwyczajniej ujął to profesor Jasen Castillo, jeden z autorów monografii opublikowanej przez amerykański think tank CNAS, pisząc, że „zamiast walczyć na peryferiach byłego ZSRR, Europejczycy powinni uznać istnienie rosyjskiej strefy wpływów i sami zdecydować, o co chcą, a o co nie chcą walczyć. Ten rodzaj decyzji powinien zostać podjęty przez naszych europejskich sojuszników w NATO. Ogłoszenie decyzji o wycofaniu sił USA z regionu powinno zachęcić te państwa do poważnego zastanowienia się nad tym, co stanowi ich własne interesy rdzeniowe”. Na Bliskim Wschodzie rywalizacja pomiędzy Iranem, Arabią Saudyjską a Turcją o przywództwo w świecie islamskim jest równie korzystna w kontekście zachowania równowagi, co z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych.

Zwolnione z obowiązku interweniowania w regionalne lub lokalne konflikty zbrojne Stany będą mogły tę rywalizację i próby wypracowania równowagi sił obserwować, grając rolę *balancer of last resort* i interweniując (niekoniecznie militarnie!) jedynie w momencie, gdy jedna ze stron uzyska przewagę mogącą jej pozwolić na myślenie o zdominowaniu całego jednego z dwóch kluczowych regionów. Powracamy wówczas w gruncie rzeczy do *business as usual* – normalnego stanu rzeczy w stosunkach międzynarodowych; oczywiście, może to oznaczać, że wiele konfliktów, dotychczas tłumionych przez wszechobecną siłę USA, rozgorzeje na nowo. Systemy wielobiegunowe, szczególnie do momentu, gdy nie zostanie ustanowiony *modus operandi* pomiędzy najsilniejszymi graczami, cechują się niestabilnością, która z kolei prowadzić może do konfliktów zbrojnych. Co więcej, znalezienie odpowiedniej równowagi odbywa się często za pośrednictwem „krwi i żelaza” oraz zazwyczaj kosztem słabszych aktorów sceny międzynarodowej.

Oczywiście system wielobiegunowy oraz jego immamentne cechy są niepożądane i niekompatybilne ze strategią prymatu, natomiast gdy Stany od strategii prymatu odchodzą, a w konsekwencji redefiniują w znacznie węższy sposób swoje interesy egzystencjalne, wówczas kwestie takie jak stabilność sytuacji międzynarodowej (poza półkulą zachodnią) przestają być dla nich tak palącym problemem. Nie można odmówić racji spostrzeżeniu, formułowanemu przez amerykańskich zwolenników powściągliwości strategicznej, że sytuacja ta oznaczałaby, że zauważalnie malałoby ryzyko uwikłania się – lub, jak kto woli, wciągnięcia – w konflikt, którego jedną ze stron byłby ich sojusznik, a drugą mocarstwo jądrowe. Ryzyko takie zachodzi chociażby w wypadku Korei Południowej i Północnej, Chin, Tajwanu i Filipin czy też Polski, państw bałtyckich i Rosji. Na dodatek są to konflikty, w których rywale USA posiadają przewagę determinacji.

Jakże inaczej byłaby interpretowana przez USA agresja Rosji na Ukrainę, gdyby kierowały się one wielką strategią offshore balancing! Zbrojna agresja na Ukrainę oznaczała, że Rosja zaprzeczyła podstawowym zasadom porządku międzynarodowego oraz rzuciła wyzwanie prymatowi Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie jej działanie stanowiło śmiertelne zagrożenie dla porządku międzynarodowego – ale dla egzystencjalnych interesów USA jedynie wtedy, gdy uznamy, że odejście od wielkiej strategii prymatu takowe zagrożenie stanowi. Jeżeli tak nie jest, a Rosja nie ma widoków na zostanie hegemonem regionalnym (a nie ma, nawet jeżeli podbiłaby Ukrainę, państwa bałtyckie i zaczęła negocjować status Polski z nią samą lub z Niemcami), to agresja na Ukrainę stanowi tylko konflikt peryferyjny.

Natomiast w imię utrzymania dotychczasowego porządku – czego konieczność dyktuje strategia prymatu – Stany Zjednoczone znalazły się w stanie podwyższonego ryzyka bezpośredniego zaangażowania w konflikt z państwem, którego zdolności jądrowe pozwalają mu myśleć o zadaniu katastrofalnych strat Amerykanom. W imię czego? Porzuconej już przez USA strategii współzależności gospodarczej? W imię powstrzymania imperialnych ambicji Rosji? Tej samej Rosji, którą jeden z założycieli Google nazwał „Nigerią ze śniegiem”? Która nie była w stanie zneutralizować państwowości Ukrainy – najbiedniejszego państwa w Europie, w którym posiadała rozwiniętą siatkę szpiegowską? Nie znaczy to, że Rosja nie jest dla nas żywotnym zagrożeniem – ale trudno jest przedstawić racjonalne uzasadnienie, że stanowi ona egzystencjalne zagrożenie dla USA, szczególnie jeżeli te zaczynają definiować swoje interesy strategiczne wężiej, zgodnie z założeniami wielkiej strategii offshore balancing.

Proszę nie zrozumieć mnie źle; nie piszę tego z satysfakcją; w obliczu słabości państwa polskiego i niekompetencji jego elit odejście przez USA od strategii prymatu oznaczać będzie realne prawdopodobieństwo utraty przez Polskę części lub całości niepodległości, być może w drodze konfliktu zbrojnego. Oznaczać będzie, że wrócimy do roli strefy wpływów, a nasz status bezpieczeństwa, nasze miejsce w łańcuchach dostaw, nawet nasze życia jako jednostek będą negocjowalnym – i negocjowanym! – elementem kształtowania się równowagi sił w Europie (możemy się podjąć utworzenia własnego ośrodka siły – ale tu wracamy do punktu pierwszego, tj. jakości elit). To jest bardzo przygnębiająca wizja – i bardzo chciałbym się mylić. Ale wątpię, szczerze wątpię, żeby Amerykanom udało się prymat utrzymać – moim zdaniem pozostaje jedynie pytanie, w jaki sposób go utracą.

Czy wydarzy się to w drodze „ucieczki do przodu” – dobrowolnej rezygnacji USA ze swego statusu? Możliwe, ale nie wskazuje na to ani analiza podobnych przypadków, ani zdrowy rozsądek. Potrzeba by ogromnej mądrości nie tylko polityków, ale i całego aparatu biurokratycznego, aby dobrowolnie oddać władzę w sposób, w jaki wymagałoby tego odejście od strategii prymatu. W alternatywnym rozwiązaniu Ameryka będzie tracić swą siłę stopniowo, rezygnując z prymatu na kolejnych, najbardziej oddalonych od regionów rdzeniowych terytoriach. Jak ocean w czasie odpływu. Ten scenariusz jest – po mało prawdopodobnym scenariuszu utrzymania przez USA prymatu (w którym, jak Piotruś Pan, nigdy nie będziemy musieli dorosnąć) – najlepszy z punktu widzenia Rzeczypospolitej, daje on nam bowiem pewien czas na poczynienie przygotowań technicznych do podjęcia samodzielnej rywalizacji o sprawczość. Może jeszcze jedna, kolejna zmiana generacyjna polskiego społeczeństwa zdoła wytworzyć elitę zdolną do udźwignięcia brzemienia władzy?

Trzeci scenariusz – choć muszę zaznaczyć, że kreślę je „z głowy” – to gwałtowne załamanie się percepcji amerykańskiej wiarygodności w drodze dotkliwej porażki USA w jednym z regionów peryferyjnych – być może porażki odstraszenia, a następnie przegranej w konflikcie, w który Stany będą bezpośrednio zaangażowane. W obliczu udowodnionej empirycznie niezdolności USA do stabilizowania i utrzymania porządku międzynarodowego i gwarancji rozszerzonego odstraszenia kolejne państwa będą uświadamiały sobie upadającą wiarygodność USA – a tym samym brak zasadności ponoszenia kosztów utrzymywania z nimi relacji sojuszniczej. Wówczas albo zdecydują się na stosowanie strategii *bandwagoning* (akceptacja zależności wobec silniejszego państwa w regionie), albo będą realizowały inne strategie pozwalające im poprawić swoją sytuację bezpieczeństwa. Jest to oczywiście wariant klasycznej teorii domina; notabene nie mam wątpliwości, że właśnie taki efekt – nagłego wywrócenia stolika – chciał osiągnąć poprzez inwazję na Ukrainę Władimir Putin.

Scenariusz czwarty to dalsze trwanie Stanów Zjednoczonych przy strategii prymatu, charakteryzujące się jednocześnie coraz większym stopniem inercji – USA dalej nie będą gotowe (lub w ogóle zdolne) do podjęcia materialnych działań, które mogłyby pozwolić im myśleć o utrzymaniu prymatu. W konsekwencji tego procesu Stany mogą się zaangażować w bezpośrednie starcie z jednym z regionalnych mocarstw, najpewniej z tym położonym w Azji Wschodniej – z Chinami. Tu problem polega na tym, że bezpośredni konflikt zbrojny pomiędzy tymi dwoma państwami cechować się będzie bardzo poważnym potencjałem eskalacji do poziomu użycia broni jądrowej, który to proces – nawet jeżeli zapoczątkowany w celu zademonstrowania determinacji, a więc w celu politycznym – może niezwykle szybko ewoluować (choć właściwiej byłoby tu użyć słowa „dewoluować”) w stronę nieograniczonej wojny jądrowej. Co się wtedy wydarzy, nie wiem – ale raczej nic dobrego.

Autor

Albert Świdziński

Dyrektor analiz w Strategy&Future.

CZĘŚĆ 1